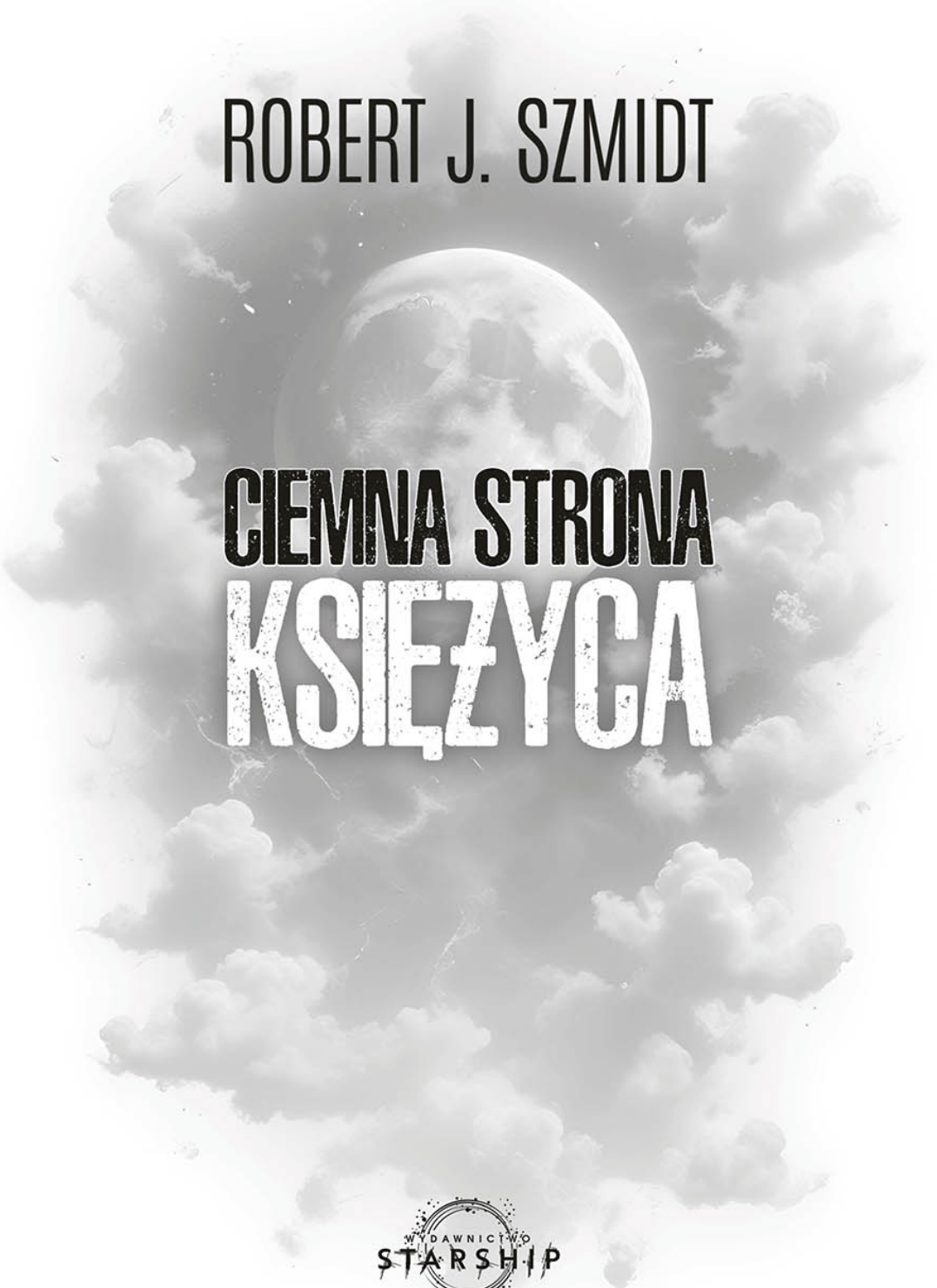


CIEMNA STRONA KSIEZYCA

ROBERT J.
SZMIDT

WYDAWNICTWO
STARSHIP





ROBERT J. SZMIDT

**CIEMNA STRONA
KSIEŻYCA**

WYDAWNICTWO
STARSHIP

Wydawnictwo Starship www.axismundi.pl/imprint/starship

Copyright © by Robert J. Szmidt, 2001

Copyright for this edition © 2025 by Starship / Grupa Wydawnicza Axis
Mundi

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Ilustracje: Tomasz Maroński

Redaktor prowadzący: Marcin Przybyłek

Redakcja: Ksenia Olkusz

Korekta: Agnieszka Kiersnowska

Wydanie I

ISBN: 978-83-8412-340-9

EAN: 9788384123409

ISBN e-book: 978-83-8412-341-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie w całości lub w częściach
wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski



SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Aniołowie](#)

To będą inne święta

Objazd

Cicha Góra

Mały

Ostatni zjazd przed Litwą

Alpha Team

Ciemna strona Księżyca

Ci, którzy przeżyli

Gavein

Umrzeć w Lea Monde

Pogromca smoków



ANIOŁOWIE

Obudziło mnie ciche pikanie. Otworzyłem jedno oko i spojrzałem na literki pojawiające się na ekranie monitora, który miałem dosłownie przed czubkiem nosa. Cholera, znowu zasnąłem podczas pisania. Te nocki przy komputerze kiedyś mnie wykończą. Znowu usłyszałem dziwny dźwięk dochodzący z maszyny. Tym razem dokładniej przyjrzałem się znakom wędrującym po ekranie.

otwórz drzwi... otwórz drzwi... otwórz drzwi...

– Co jest, kurka? – mruknąłem.

Widziałem „Matriksa” ze dwadzieścia razy w Starym Kinie, ale żeby coś takiego na jawie zobaczyć? Uszczypnąłem się w przedramię. Zabolalo, ale litery nie zniknęły. Sięgnąłem do klawiatury, by zamknąć dokument, gdy nagle zadźwięczał dzwonek do drzwi. Zamarłem. Dzwonek się powtórzył, tym razem towarzyszyło mu pukanie. Nie mogłem tego dłużej ignorować, posłałem jeszcze jedno spojrzenie na ekran monitora, gdzie teraz multiplikowały się śmieszki.

– Zaraz! – krzyknąłem, idąc do drzwi. – Nie pali się!

Poprawiłem zmiętą koszulę i rzuciłem okiem na lustro. Nie ujrzałem twarzy Keanu Reevesa. I dobrze, ze swoją zdążyłem się zżyć przez te dwadzieścia osiem lat. Uchyliłem drzwi, nie zdejmując łańcucha. Przez kilkunastocentymetrową szparę zobaczyłem dwóch facetów. Obaj mieli na pewno ponad dwudziestkę i byli dość niechlujnie ubrani. Pierwszy, niższy, o nalanej okrągłej twarzy pozbawionej zarostu, ale za to z wyłupiastymi oczami, uśmiechnął się do mnie.

– Jesteś Neo? – zapytał.

– Nie, ten dupek mieszka pod dwudziestym. Piętro wyżej – odpowiedziałem, siłąc się na luzik, chociaż wcale mi nie było do śmiechu.

– Spoko, Edek – odezwał się tymczasem drugi. – To był kicior, na rozgrzewkę. My do ciebie.

– Kicior?

– Kolega chciał powiedzieć, że to był żart – wytłumaczył niższy. – Zmęczony jesteś tą robotą po nocy, dlatego nie jarzysz.

– Czego chcecie?

– Widzisz – wyższy wyszczerzył zęby – koleś już jarzy. Jak łyknie browca, to mu się na full przejaśni.

Wciąż nie bardzo wiedziałem, o co może im chodzić, ale niższy zaraz mi to wyjaśnił:

– Wpuść nas, koleś, mamy ważną sprawę względem tego programu, który od tygodnia spędza ci sen z powiek.

– A co wy wiecie o moim programie? – Zdziwiłem się, bo nikomu jeszcze o nim nie wspominałem. To miała być interaktywna biografia znanego w naszym mieście księdza. Niespodzianka dla ojca Borowika.

– Zaciąłeś się na bazie danych. Nie potrafisz...

Gdy to mówił, zobaczyłem, że sąsiednie drzwi otwierają się i na korytarz wychodzi Marzena. Wołałem, by nie słyszała o moich kłopotach

z bazą danych. W końcu to poniekąd dla niej pisałem najnowszy program.

– Wchodźcie. – Zdjąłem łańcuch i wpuściłem delikwentów do przedpokoju.

Nie zatrzymali się w nim nawet na chwilę, idąc prosto do zagrożonego salonu. Niższy usiadł na kanapie, a wysoki przeszedł dalej. Do wnęki kuchennej.

– Łykasz żywca czy corone? – zapytał mnie, zanim otworzył lodówkę.

– Corone – odpowiedziałem zaskoczony. – A... wy co pijecie?

– My popatrzymy... – Niższy uprzedził kolegę. – Jesteśmy na służbie.

– Na służbie? Znaczy, policja?

– Jaka policja? Jesteśmy killerami z Microsoftu. Kasujemy linuksiarzy – palnął ten, który grzebał w lodówce, szukając limony.

Znalazł ją i odwrócił się w moją stronę. W jednej ręce trzymał otwartą butelkę, w drugiej ćwiartkę limony. Chyba zauważył zaskoczenie na mojej twarzy, bo uśmiechnął się wyraźnie tym rozbawiony.

– Kicior, koleś. – Zza pleców usłyszałem śmiech drugiego. – Facet, ty łykasz jak głodny pelikan. Wierzysz we wszystko, co ci powiedzą?

– Prawie. Ale... kim wy właściwie jesteście? Tylko tak na poważnie.

– Jasne. – Wyższy popchnął mnie na fotel przy biurku, a sam usiadł na kanapie obok kumpla. – Chyba musimy mu powiedzieć? – zwrócił się do niego.

Niższy pokiwał głową.

– Jesteśmy twoimi aniołami stróżami – rzucił drągał z niewinną miną i dałbym słowo, że przez chwilę widziałem nad jego głową niewyraźną aureolę.

– Aniołami? – Popatrzyłem na nich podejrzliwie. – A papiery jakieś na to macie?

Roześmiali się jednocześnie, omal nie spadając z kanapy.

– A to dobre! Papiery, czy my mamy na to papiery...

– Przed chwilą pytałeś, czy we wszystko wierzę. – Odstawiłem butelkę na blat biurka. – Może i jestem łatwowierny, ale wiara też ma swoje granice.

W jednej chwili spowaźnieli. Niższy wyraźnie był szefem i to on pierwszy się odezwał.

– Naprawdę jesteście moimi aniołami stróżami!

– Akurat. Numer z „Matriksa” nieźle odwaliliście, ale to jeszcze nie powód, żebym dał sobie wcisnąć taki kit.

– Mówiłem, że będzie chciał dowodu – mruknął wyższy, robiąc ponurą minę.

– Będę chciał dowodu – powtórzyłem za nim.

– A nie jest dowodem to, że wiedziałem, jaki browiec kisi się w lodowie?

Spojrzałem na niego z politowaniem.

– Wiemy też, jaki program piszesz i na czym utknąłeś.

To był argument, ale postanowiłem zażyć ich logiką.

– Pracuję w Sieci, jeśli jesteście dobrzy w te klocki, mogliście włamać się do mojego blaszaka podczas surfowania.

Niższy zatkał dłonią usta kumpłowi, gdy ten chciał mi odpowiedzieć.

– Pokaż mu – rzucił krótko.

– Dlaczego ja?

– Bo ja jestem z wyższego chóru.

– Jasne, wszystko zawsze spada na tych z tylnych rzędów. – Drągał wstał.

Miał na sobie dres z trzema paskami i rozpiętą kurtkę ortalionową. Zdjął ją, potem bluzę i zobaczyłem, że ma pod spodem białą koszulę. Spojrzał na kompana. Tamten skinął głową, jakby na zachętę. Ja też pokiwałem. Chudy uśmiechnął się i zmarszczył czoło. Wyglądał zupełnie jak... Nagle zza jego pleców wyłoniły się opierzone skrzydła. Niewielkie, ale zawsze.

– W dziąsło jeża! – krzyknąłem, trochę skołowany. – Nie wiem, jak to zrobiliście, ale to niczego nie dowodzi. Sam mogę sobie takie skrzydła z piórek zrobić.

Drągał popatrzył ze smutkiem na kolesia.

– Muszę? – zapytał.

– Jak widać – padła szybka odpowiedź.

Skrzydełka poruszyły się spazmatycznie raz i drugi i nagle facet oderwał się od podłogi, po czym zrobił kółeczko wokół żyrandola. Za drugim okrążeniem przyśpieszył i nie wyrobił. Rąbnął w półkę ze starymi książkami, wiszącą przy samym suficie, i zwałił się na kwietnik pełen roślinek, które z takim mozołem pielęgnowałem przez ostatnie dwa miesiące.

– Jak ja tego nie cierpię – jęknął, wstając. Był cały uwalany ziemią i liśćmi.

– I cóżeś narobił?! – Zerwałem się z fotela.

– Babka go zabije – dodał niższy. – To były jej ulubione kwiaty.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Co się gapisz? Wiemy o tobie wszystko. Jesteśmy aniołami.

Posprzątali, zanim dopiłem coronę. Na kolanach pozbierali kwiaty i powsadzali je w ziemię zebraną do miski na pranie. Niższy trochę nad nimi pomedytował, a gdy wstał, wyglądały całkiem zdrowo.

– Musicie odkupić doniczki – oświadczyłem, gdy z powrotem siedli na kanapie.

– Spoko, koleś. Nie mamy kaski, ale... – wyższy zawiesił znacząco głos – ...znamy numery z dzisiejszego losowania lotto.

– Podamy ci tylko czwórceczkę – dodał szybko drugi. – To wystarczy na wszystkie wydatki i jeszcze ci zostanie.

– Moglibyście się chociaż przedstawić. – Zmieniłem temat, nie chcąc ciągnąć wątku lotto, bo w głowie już kiełkował mi plan, jak zdobyć trochę gotówki.

– Wolelibyśmy pozostać anonimowi – rzucił wyższy.

– W zasadzie nawet nie powinieneś nas widzieć – dodał drugi.

– Ale to nie ja do was przyszedłem, tylko wy do mnie.

Skinęli głowami, nic nie mówiąc.

– Skoro was widzę, to chyba będziemy ze sobą rozmawiali. Głupio tak mówić do siebie „ej, ty”. Zresztą wiecie przecież, jak ja się nazywam.

– W sumie masz rację. – Niższy, jako szef, przedstawił się pierwszy: – Jestem Tomek. To moje stare, ziemskie imię. Służbowego byś nie pamiętał.

– A na mnie mówili Patyczak – powiedział ten drugi. – Trochę to głupie, ale...

– A tam... – Wskazałem w górę. – Jak tam cię nazwali?

– Tak samo... – Zarumienił się, a ja nie naciskałem.

– To może po piwku – rzuciłem. – Skoro już się znamy.

– Noo, nie wiem... – Tomek wyraźnie miał ochotę na browca. – Przepisy zabraniają nam sięgać po używki.

– Nie musicie sięgać. To ja stawiam i podaję.

– Skoro tak, to żywczyka.

– A ty, Patyczak?

– Nigdy nie próbowałem corony...

Podałę browar i zapytałę:

– Co was do mnie sprowadza?

– Mamy cię pilnować. Komuś tam na górze zależy, żebyś skończył ten program dla ojca Borowika. Będziemy dbali, żeby nic ci się nie stało.

– Nie wyglądacie na aniołów.

– Wiemy – mruknął Tomek. – W sumie jesteśmy lamerami. Tam w niebie śpiewamy w ostatnich chórach. Zero solówek, nawet na święta. Ale wiesz, jak jest. Teraz tylu ludzi żyje na świecie, że do pilnowania wszyscy już zostali oddelegowani. Ci najlepsi mają czasami i po pięć osób pod sobą.

– Dlatego taki pomór ostatnio wśród znanych ludzi – wtrącił Patyczak.

– Chłopaki się nie wyrabiają, po prostu się nie wyrabiają...

– Ciekawe. Chłopaki się nie wyrabiają, a do mnie aż dwóch przysłali.

– Na ochotnika się zgłosiłem – pochwalił się Tomek. – Żeby u świętego Marcina zapunktować. Ale nie miałem wymaganych kwalifikacji. Tak się jednak składało, że nie mieli kogo do ciebie posłać, to dorzucili tego tu, Patyczaka. Koleś podobno zaliczył kursy i szkolenia, których ja nie zdążyłem...

– Nie podobno, ale na pewno. Razem jesteśmy jak jeden porządny anioł – powiedział z dumą Patyczak.

– A dlaczego was widzę? To chyba nie jest normalne.

- Może nie jest normalne, ale i nie takie rzadkie.
- Jakoś nie słyszałem o tym, by ktoś widział anioła.
- A kto się tym chwali? Chcesz, to spróbuj. Zaraz Marzena będzie wracała ze sklepu. Możesz jej o nas powiedzieć.
- Weźmie mnie za wariata...
- No właśnie. I już masz odpowiedź, czemu o nas się nie rozpowiada. Ale wracając do tematu. Mamy taki problem, rozumiesz. Ty prawie z domu nie wychodzisz, więc w Biurze Ochrony Rotacyjnej uznali, że nawet takie lamerstwo jak my może cię ochronić. Ale sam rozumiesz. Gdyby coś się działo wokół ciebie, a nam udało się wyciągnąć cię z jakiejś sytuacji...
- Nie bardzo rozumiem.
- No wiesz... Moglibyśmy pomyśleć o drobnym wypadku. Ty, dajmy na to, idziesz ulicą, zagapisz się, a tu fura pędzi...
- Pogibało was! Mam włączyć pod samochody?
- Spoko, koleś, spoko. Wtedy ja szepnę ci w ucho, żebyś się zatrzymał, Patyczak mruknie coś kierowcy i będzie po sprawie. Ty żyjesz jak przedtem, a my mamy pochwałę i może jakiś awans.
- Zaraz! – krzyknąłem przerażony. – A... ten wasz... Szef nie obserwuje wszystkiego? Nie dowie się, co kombinujecie?
- Za dużo „Wielkiego Brata”, przyjacielu, oglądasz. Góra interesuje się tylko ważnymi przypadkami. Reszta jest kontrolowana wyrywkowo. Zwłaszcza przy takim ruchu jak dzisiaj. Święta idą, wszyscy się o coś modlą. Szum informacyjny, jak nie przymierzając po osiemnastej w Necie.
- Nie uwierzysz, koleś – chudeusz zrobił oczy spaniela – jaki to obciach, kiedy stoisz ciągle w ostatnim rzędzie i nie masz szans na najmniejszą solówkę.
- Miał rację. Nie wierzyłem.

Zgodziłem się. Nie musieli mnie nawet długo namawiać. Zwłaszcza że dawali stuprocentową gwarancję i zdradzili cztery z sześciu trafnych numerków. Zbliżało się południe, osuszyliśmy już sześciopaka i postanowiłem kupić coś na obiad. Miałem ochotę na chińskie żarcie. W barze na rogu dawali świetne sajgonki. Potem krótka wizyta w supersamie po drugiej stronie ulicy. Taki był plan. Akcję mieli przeprowadzić w czasie, gdy będę wracał do domu.

Nie powiem, zabrali się do tego fachowo. Chudy sprawdził teren, zmierzył czas potrzebny do przejścia ulicy. Wyliczył dokładnie, gdzie powinienem się znajdować, gdy ruszą wozy ze skrzyżowania. Nawet mi to narysował. Umówiliśmy się, że wyjdą kwadrans przede mną, aby się przygotować. Wyszli zgodnie z planem. Ciemne okulary, szeleszczące dresy, krótko ostrzyżeni. Kamuflaż, jakiego nie powstydziliby się sam James B.

Odczekałem swoje, łącząc się z Internetem. Odebrałem skromną pocztę, zajrzałem na listę dyskusyjną i o mały włos bym się zagapił. Marzena znowu wstawiła kilka postów i normalnie się zaczytałem.

Zbiegłem po schodach i wypadłem na zalaną słońcem ulicę. Trzydzieści sekund w plecy. Rzuciłem zmiętą kartkę z planem Patyczaka do najbliższego kosza i pognałem do budki z żarciem. Tomek trzymał już dla mnie kolejkę.

– Ten pan tu stał – powiedział do całkiem pokaźnego ogonka i o dziwo nikt nie zaprotestował. Nie miałem pojęcia, co bardziej podziało na kolejkowiczów. To, że Tomek był aniołem, czy jego błyszczący dres i obcięte na zapalkę włosy.

– Dzięki – szepnąłem.

– Nie ma za co. O szesnastej będzie na ircu – powiedział dość enigmatycznie.

– Co będzie na ircu? – zdziwiłem się.

– Nie co, lecz kto. Marzena. Lepiej też tam bądź, bo jakiś Master do niej uderza.

– Master?

– Taka ksywka. Zbanuj gostka, czy co to tam się robi, zanim namiesza, dobrze ci radzę.

Kupiłem sajgonki i makaron sojowy dla chłopaków. Niby anioły nie jedzą, ale jak widziałem oczy Tomka, to mi się żal zrobiło. Zresztą, sześć pięćdziesiąt nie majątek, a czwórka w totka jeszcze tego wieczora mogła dać mi więcej, niż się spodziewali. W końcu od czegoś są systemy. Pięć czwórek to nie jedna, a dziesięć to więcej niż pięć, nawet przy założeniu, że wygrana dzieli się na wiele części.

Do supermarketu ruszyłem już według planu. Oszczędność czasu w kolejce pozwoliła nam na wypicie browarka przy sąsiedniej budce. Ale tylko jednego. Dałem Tomkowi siatkę z zakupami i ruszyłem pewnym krokiem na drugą stronę czteropasmowej ulicy. Tym razem nie szedłem do przejścia dla pieszych, tylko przeciąłem pustawy pas asfaltu w najbliższym miejscu. Dochodząc do krawężnika, zauważyłem Patyczaka. Stał na lewo od sklepu oparty o latarnię i obserwował spoza ciemnych okularów przeciwnieległą stronę ulicy. Spojrzałem tam, nie dostrzegłem jednak niczego ciekawego. Ot, normalna południowa krzątanka przy budowie biurowca. Kolejki do straganów i faceci z Plakandy, którzy zaczęli wyklejać nowe billboardy. Rzuciłem okiem na chudego. Dał mi ledwie dostrzegalny znak ręką, że ma wszystko pod kontrolą. Wszedłem do sklepu.

Zakupy trwały kilka minut, tym razem trzymałem się harmonogramu. Przy punkcie lotto nie było nikogo, skreśliłem szybko po sześć liczb na

czterech kuponach, tak, by na każdym polu znalazły się wszystkie trafione. To powinno zwiększyć wygraną co najmniej kilkakrotnie. Na pewno nie zostanę milionerem, ale pożyję jak król przez parę tygodni albo i miesięcy.

Zastanawiałem się, czy nie kupić Marzenie jakiegoś drobiazgu bądź nie zabrać ją na kolację z okazji wygranej. Przelotnie spojrzałem na zegarek. No, czas na mnie. Wizja wspólnego wieczoru tak mi się spodobała, że już widziałem oczami wyobraźni, jak wracamy do domu, pomagam jej zdjąć płaszczy i...

– Miał pan wiele szczęścia, młody człowieku – powiedział eteryczny facet w bieli.

Nie do końca wiedziałem, o czym mówi. Czułem zapach jedzenia. Mielony, kartofle, buraczki.

– Kim pan jest? – zapytałem niezbyt przytomnie. – Kto zamówił ten kotlet?

– Typowy szok pourazowy – usłyszałem. – Ofiary wypadku często bredzą.

Jakie ofiary? Jakiego wypadku? Do kogo on mówi? Pytania się mnożyły, ale nie znajdowałem na nie odpowiedzi. Powoli jednak wracała pamięć. Przebudzenie, wizyta, Patyczak i Tomek... Anioły! Niech mnie licho weźmie! Taka halucynacja, i to bez prochów. A jeśli byli prawdziwi? Nie, nie mogli być realni; obiecywali, że nic mi się nie stanie. Anioły przecież nie mogą kłamać. Przywidziało mi się. Za dużo siedzenia przed monitorem i grania w „Diablo”, za dużo...

Wzrok powoli wracał do normy. Albo dali mi coś na uspokojenie, albo był to efekt wstrząśnienia mózgu. Kręciło mi się lekko w głowie, ale

widziałem w miarę wyraźnie. Rozejrzałem się po pokoju. Lekarz właśnie wychodził, obok łóżka stała pielęgniarka, a za nią... Patyczak i Tomek.

– To wy! – nieomal krzyknąłem, obandażowana szczęka nie poruszyła się tak, jak chciałem.

– Spokojnie – uciszył mnie chudzielec. – Nie rzucaj się tak, bo ci kroplówka wypadnie.

Dotknął ramienia pielęgniarki i kobieta wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Załatwiliśmy ci izolatkę – pochwalił się Tomek.

– Załatwiliście mi to! – Próbowałem wskazać ręką na siebie, ale była usztywniona i nie miałem w niej władzy.

– Fakt. – Tomek zdjął czapeczkę i okulary. – Wybacz, stary.

– Jak to: wybacz?! – Zaczynali mnie wkurzać, czego najlepszym dowodem był ekran monitora. Ciśnienie wyraźnie mi skoczyło, nie mówiąc o tętnie. – Tak po prostu?! Wypuściliście mnie wprost pod samochód...

– Autobus – sprostował Patyczak. – Miało być spektakularnie...

– Autobus?!

– Tak, sto szesnaście, pośpieszny.

– Czerwony?

Popatrzyli na siebie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Sam nie rozumiałem, ale pewnie był to efekt tego szoku pourazowego czy jak mu tam.

– Uspokój się, koleś, wyjdiesz z tego.

– Nawet będziesz chodził – dodał chudy. – Jak wszystko dobrze pójdzie.

Zatkało mnie. Naprawdę mnie zatkało.

– Może mi któryś wyjaśni, dlaczego tu leżę? Przecież plan był stuprocentowo pewny.

– No tak. Wiesz, koleś...

– Nie wiem!

– No dobra. Ci faceci, których może widziałeś, a może nie, zaczęli po drugiej stronie rozwieszać nowe plakaty na takich tablicach...

– A co to ma wspólnego ze mną?!

– Niby nic, ale nie przerywaj, to się dowiesz, co nam przeszkodziło – wtrącił Tomek.

Zamilkłem.

– No i jak je rozkleili, popatrzyłem na nie. – Patyczak przełknął ślinę. – Tomek też przyszedł popatrzeć.

– Co tam było, do cholery?! – nie wytrzymałem.

– Takie laski...

– Reklama nowego „Playboya”?

– Jaki tam „Playboy”? Reklamowali bieliznę... Pal... coś tam.

– Palmers?

– Chyba tak...

– I dlatego, że na billboardzie wywiesili parę gołych dup, wpuściliście mnie pod autobus?

– Stary – Tomek założył okulary – żebyś ty widział, jakie to były... laski.

– Widuję takie co chwilę, i to żywe! – palnąłem, choć nie do końca była to prawda.

– A my nie... – powiedzieli unisono takim tonem, że mimo całej sytuacji żal mi się ich zrobiło.

Zostawili mnie gdzieś koło osiemnastej. Poszli zdać raport czy coś takiego. Potem wpadła na chwilę Marzena. Przyniosła rosół od babci i kwiaty. Miło z jej strony, ale widziałem, że się śpieszy. Może na spotkanie z tym, jak mu tam, Masterem. Nie dałem poznać po sobie, że coś wiem na ten temat. Porozmawialiśmy chwilę i poszła, obiecując, że zajrzy następnego dnia. Postanowiłem się przespać.

Obudził mnie lekko wyczuwalny w powietrzu zapach siarki. Zanim otworzyłem oczy, parę razy pociągnąłem nosem.

– Wybaczy pan ten zapach – powiedział ktoś, kogo w ciemności nie widziałem.

– Kim pan jest?! – zapytałem. – Proszę natychmiast zapalić światło!

Usłyszałem ciche pstryknięcie i blask wprasał mi oczy do mózgu. Zacisnąłem powieki, ale nie na wiele się to zdało.

– Nie to! Zapal, człowieku, lampkę przy łóżku.

– Pardon – usłyszałem znów aksamitny głos i po chwili zrobiło się ciemniej.

Mogłem wreszcie otworzyć oczy. Przez łązy zauważyłem, jak zbliża się do mnie rozmazana, ciemna sylwetka. Chyba się pochyliła. Poczułem na twarzy delikatne dotknięcie chłodnego, śliskiego materiału. Chusteczka, którą ocierano mi oczy, pachniała ekskluzywnymi perfumami, ale i od niej lekko załatywało siarką.

– Kim pan jest? – powtórzyłem.

– Moje imię nic panu nie powie – stwierdził facet w eleganckim garniturze. Teraz widziałem trochę wyraźniej. – Niektórzy mówią na mnie Louis.

– Po co pan tu przyszedł?

– Jestem z konkurencji.

Mężczyzna siedzący na szpitalnym zydelku obok mojego łóżka miał na sobie dopasowany szary, lekko połyskliwy garnitur i nieskazitelnie białą koszulę. Do tego nosił fular, a w ręku trzymał czarną laskę z rączką w kształcie skaczącego lwa. Ale nie to było najciekawsze. Facet miał twarz Roberta De Niro. Mógł robić za jego brata bliźniaka. Z okresu „Harry’ego Angela”. To spojrzenie. Ten pieprzyk. Ta bródka.

– Pan wygląda zupełnie jak...

– Wiem, wiem. Ale to raczej on wygląda jak ja. – Uśmiechnął się diabolicznie.

Diabolicznie! Konkurencja. Siarka.

– Pan jest... – Zabrakło mi słów.

– A jestem. Louis Cypher, do usług. Dla przyjaciół Lou.

– Czego pan ode mnie chce?! – Przestraszyłem się nie na żarty.

– Nic takiego...

– Tak, tak. Już ja znam te wasze sztuczki. – Nie mogłem się ruszyć, o ucieczce nie mówiąc, a ktoś, nie powiem kto, wyjął mi z ręki przycisk do przywoływania pielęgniarek.

– Mylisz się, młody człowieku – powiedział diabeł, zakładając nogę na nogę. – Cyrografy, te sprawy... To już historia. Teraz mamy nadmiar chętnych. Możemy wybierać.

– Akurat.

– A co ty, kurwa, wiesz o kuszeniu? – Spoważniał nagle. – Tamci – wskazał w górę – postawili na marketing. I to ponad dwa tysiące lat temu. Dlatego udało im się wyrobić dobrą markę. Ale sam widziałeś, jaka to partanina. – Rzucił w moim kierunku wymowne spojrzenie. – Dwóch ich było, a i tak wpakowali cię pod samochód.

– Pod autobus – poprawiłem odruchowo.

– Wszystko jedno. – Nie wyglądał na poruszonego moją uwagą. – Przejdźmy do rzeczy, bo czas ucieka, a jestem umówiony na mecz o dwudziestą drugą.

– Kłamiesz, diable. – Zaśmiałem się również diabolicznie, przyłapawszy go na łgarstwie. – Tak późno nie grają. Zresztą dzisiaj jest wtorek, nie ma żadnych meczów.

– U was. W lidze piekielnej mamy rozgrywki cały rok, i to codziennie.

– Tak, jasne. – Czułem, że mnie podbiera.

– A co, myślałeś, że wszyscy siedzą w kotłach?

– Może nie w kotłach, ale...

– Za dużo się naoglądałeś Boscha. Teraz Hieronim inaczej maluje, zupełnie inaczej. Ostatnio z Dalim i Picassem taki numer wykręcili, że Michał, khem... Anioł z Leonardem cały miesiąc nie wychodzili ze swojej willi.

– Co? Oni wszyscy są u was?

– A gdzie niby mieliby być? – zdziwił się szczerze.

– W niebie.

– Tacy grzesznicy? – Cypher się roześmiał. – To, że machnęli kilka świętych obrazków, nie zmyło ich przewin.

Musiałem przyznać, że potrafi przykuć moją uwagę. W końcu był kusicielem, i to najwyższej rangi.

– Widzę, że zaciekało cię, jak to jest naprawdę – powiedział diabeł. – Bo jest trochę inaczej, niż ci się zdaje.

– Anioły nie kłamią.

– A kto mówi, że kłamią? – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Nie wspominali ci, że ich jedyną rozrywką jest śpiewanie w chórze?

Fakt, tylko o tym wspominali i o nudzie.

– Właśnie, nuda, bracie, nuda. – Jakby czytał w moich myślach. – Do tego wszyscy dążycie. Do dziewiętnastego wieku było dość nudno i na dole. Tak umownie nazywamy naszą strefę – wyjaśnił. – Ale potem zaczęło się robić coraz goręcej, *excusez le mot*. Po drugiej wojnie światowej mieliśmy już nadkomplet. Trzeba było poszerzyć granice piekła. Dodać trochę terenów, dobudować co nieco tu i ówdzie. Ale opłaciło się. Powiem ci, że nawet przestaliśmy zbierać podpisy na cyrografach, tylu chętnych było. Nie słyszałeś chyba od czasów tego krety, Goethego, o nowych takich przypadkach?

Pokręciłem głową, faktycznie po „Fauście” nie czytałem o niczym podobnym.

– No widzisz. – Wyjął z kieszeni cygaro i obciął koniuszek niewielką gilotyną. – Jakoś tak czterdzieści lat temu zaczęliśmy zmieniać nasze piekielko. Zrobiło się weselej, jak trafiły do nas pierwsze króliczki z „Playboya”, wielkie aktorki, piosenkarki. Nie posłuchałbyś koncertu Janis Joplin z akompaniamentem Jimiego H.? A wiesz, bracie, jaki duet stworzyli Freddie Mercury i Jim Morrison? Stary już jestem, ale mam wszystkie ich płyty.

– A Elvis?

– Elvis żyje. – Zapalił cygaro i zaciągnął się. – UFO go porwało.

Król żyje, a to ci nowina.

– Żyje, żyje – powtórzył, widząc moje niedowierzanie – ale już wyprzedaliśmy wszystkie bilety na jego premierowe tournée po piekle. – I dodał wyjaśniająco: – Stary już jest, czas na niego...

– A co z Marilyn?

– A co ma być, zagrała ostatnio w niezłym przeboju kasowym „Czyż nie dobija się koniokradów?”. Trochę gorzej wypadł Bogie, wiesz, on nie może wyjść z tej manieri lat czterdziestych. Linda i Pazura też nie dali

z siebie wszystkiego, ale oni łapią się chyba do każdej produkcji. Za to Bruce Lee był świetny, zniszczył czarne charaktery już w połowie filmu. I ten pojedynek Marilyn z Pamelą Anderson na tle zachodzącego słońca w finale. Cud miód.

– Kto to nakręcił? – jęknąłem. – Bergman?

– No co ty. Najlepszy duet Hottywood: Fellini i Peckinpah. Bergman kręci na razie reklamówki. Musi się nauczyć tempa akcji.

– Niesamowite.

– Niesamowite to są pojedynki wolnej amerykanki. Wschód–Zachód.

– Jakie pojedynki?

– No, wrestling – wyjaśnił Lou. – Wpadliśmy na pomysł, żeby znani politycy, ci, którzy zawsze posyłali innych do walki, sami zaczęli się okładać. Stary, wiesz, jaką oglądalność mają pojedynki Hell Slam Night? Nie uwierzysz, dziewięćdziesiąt sześć procent według ratingu Nielsena! Ale zobaczyć Drapieżnego Führera i jego Osiowych Kumpli przeciw Murowanej Trojce Lenina. Człowieku, to najbardziej krwawy ze sportów.

Zauważyłem, że wzrok mu się rozmarzył. Sam nieomal widziałem oczami wyobraźni te sceny. I to mi przypomniało o najważniejszym.

– A czego chcesz ode mnie?

– Nic wielkiego. – Wypuścił kilka kólek z dymu. – Pisziesz biografię księdza Jurkowskiego.

– Tak.

– To napisz prawdę.

– Przecież napisałem.

– To, co napisałeś, to wersja oficjalna, bracie.

– Jak to: oficjalna?

– No, sam popatrz.

Pochylił się i ze skórzanej teczki wyjął niewielkiego laptopa. Włączył go i czekał, aż ciekłokrystaliczny ekran się rozjaśni. Sekundę później usłyszałem znajomy dzingiel i zobaczyłem charakterystyczne logo.

– Używacie w piekle Windowsów? – zapytałem mocno zdziwiony.

– Używamy. – Czekaj, aż program się załaduje.

– I nie wieszają się?

– Wieszają się, to fakt – uśmiechnął się kpiąco – ale odkąd trafił do nas Bill, mamy z tym porządek. Dobrze rozgrzany stalowy pręt czyni cuda, zwłaszcza kiedy jest blisko pewnej części ciała.

– A jednak torturujecie ludzi. – Wreszcie złapałem drania na kłamstwie.

– Tylko niektórych. – Nie wydawał się skruszony. – Sam powiedz, czy nigdy nie wkurzał cię czerwony ekran i komunikat „wystąpił błąd krytyczny”?

– Niebieski ekran. W tym komunikacie ekran jest niebieski.

– Racja. To w piekielnej wersji był czerwony. – Położył komputer tak, bym mógł dobrze widzieć ekran.

Przez chwilę obserwowałem nakręcone ukrytą kamerą obrazy, potem spojrzałem mu w oczy.

– Jesteś diabłem, dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Zapytaj swoich skrzydlatych kumpli – odparł. – Oni nie kłamią.

– To dobry pomysł – przyznałem.

– Okay – rzucił Cypher, odsuwając się od łóżka. – Na mnie już czas. Mecz za kwadrans. Zrobisz, jak uważasz, ale pamiętaj: *The truth is out there.*

– Zaczekaj! – krzyknąłem, gdy schował laptopa i ruszył do okna. – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Wal, byle szybko.

– Czy macie Einsteina... tam na dole?
– Tego od teorii względności?
– A był jakiś inny?
– Kilku by się znalazło. Ale jeśli chodzi ci o tego, odpowiedź brzmi: tak, mamy go. Jak i resztę paczki od bombki.

– A co on teraz robi?
– Nie uwierzysz. Jest kelnerem w klubie erotycznym, który założyli Larry Flynt z Jerzym Urbanem i Torquemadą. Dorabia na czynsz za swoje laboratorium. Ale pociesz się, ma dobre towarzystwo. Na tej samej zmianie pracują Maria Curie i Isaak Newton. To niezła speluna. Schwarzenegger i Stallone stoją na bramce, a jednym z barmanów jest Tom Cruise. Ale chyba go wywalimy, bo jak wypije, to smuci gościom o tym swoim scjentyzmie.

Z tymi słowami na ustach zniknął, pozostawiając mnie w stanie totalnego osłupienia.

Spałem do rana jak niemowlę. A śniło mi się, że oglądam film, o którym mówił Lou. Nie był nawet taki zły, jak początkowo myślałem.

Obudziłem się w sam raz na zmianę kroplówki i nową porcję leków. Było może po siódmej, gdy pielęgniarka założyła mi świeżego pampersa i wyszła, uśmiechając się promiennie.

Stali obaj u mojego wezglowia. Oprócz nich był jeszcze ktoś. Wysoki, blady, w czarnym kapturze.

– Spoko – powiedział Tomek. – To nie Pan Śmierć.

Wkurzało mnie, że zdają się czytać w moich myślach.

– Nie? W takim razie kto? – zapytałem, zezując na faceta stojącego niemal na krawędzi pola widzenia.

– To Maryjan. Dodali go do naszego zespołu po ostatniej porażce. Podobno kiedyś nieźle mieszał...

– Dodali wam anioła stróża? – To naprawdę było zabawne. – Szefostwo dowiedziało się o wypadku?

– Nie, mamy kuratora za to, że podaliśmy ci czwórkę do totka. – Chudy powiedział to z wyraźnym wyrzutem.

– A co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– Oszukałeś nas – mruknął Tomek. – Zagrałeś systemem na dwadzieścia zakładów.

– A to była kumulacja i nie padła główna wygrana – dodał Patyczak.

Zastrzygłem uszami, bo tylko nimi mogłem swobodnie poruszać.

– To znaczy...?

– Cztery miliony, mniej więcej.

– A niech mnie diabli! – palnąłem bez zastanowienia. – Cztery duże bańki. Jestem bogaty.

Blady pociągnął nosem i wydał usta, aż mu się podbródek z przedziałkiem wysunął do przodu. Skądś kojarzyłem faceta...

– Siara tu był – rzucił.

Tomek z Patyczakiem natychmiast zaczęli nerwowo obwąchiwać pomieszczenie.

– Był tu, prawda? – zapytał Tomek.

Przytaknąłem, choć takiego imienia jak Siara wcześniej nie słyszałem. Domyśliłem się jednak, o kogo im chodzi.

– Przekabacił cię... – Smutne oczy Patyczaka nabiegły łzami.

– Niezupełnie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Ale mówił ciekawe rzeczy.

– To wszystko kłamstwa i mydlenie oczu. Czerwona propaganda. – Maryjan wyszedł zza wezgłowia. – Agent dołu zawsze kłamie.

– Być może, ale to można łatwo sprawdzić.

– Jak? – zainteresował się Tomek.

– Wy nigdy nie kłamiecie, jesteście przecież aniołami.

Przytaknęli ochoczo.

– Lou, znaczy Siara, czy jak go tam nazywacie, pokazał mi pewien filmik o księdzu Jurkowskim...

Widziałem, jak smutnieją z każdym słowem.

– Zatem to była prawda?

Nie odpowiedzieli, a ja nie nalegałem. Pomilczeliśmy chwilę. Wreszcie blady poruszył się i stwierdził:

– Przypadek beznadziejny. Na mnie już czas, a i dla was chyba ta robota jest skończona.

– Dlaczego? – Patyczak przysunął się do mojego łóżka i pogłaskał mnie po twarzy. – On przecież może jeszcze napisać...

– Sam w to nie wierzysz, bracie... Patyczaku. – Maryjan westchnął boleściwie. – Jeśli wasz... znaczy... nasz podopieczny napisze tę biografię, znając prawdę, skłamie i trafi na dół. Jeśli powstrzyma się od kłamstw, zada nam wielkie straty. Lepiej dla niego i dla nas, by tego w ogóle nie pisał. Jest jeszcze paru, którzy to robią, nie mając takiego rozeznania w temacie... – Poblądł jeszcze bardziej i rozpląnął się w powietrzu.

– Schrzaniliśmy – mruknął Tomek.

– Dlaczego tak mówisz? – zaoponowałem. – Przecież on w każdej chwili mógł przyjść do mnie i pokazać te materiały.

– Mógł, pewnie, że mógł, ale ty byś mu nie uwierzył, gdybyśmy się wcześniej nie ujawnili. W końcu to od nas uzyskałeś pełne potwierdzenie.

Mieli, cholera, rację. Znowu zapadło milczenie.

– To chyba jednak pójdziemy – powiedział wreszcie Tomek. – Co tak będziemy tu siedzieli...

– Zaczekajcie – poprosiłem. – Film był prawdziwy, ale cała reszta mogła być zmyślona.

– Jaka reszta? – zaciekawiał się Patyczak.

– No, to co mówił o piekle.

– Czyli?

– Takie tam bzdety. O lidze piłkarskiej, o tym, że mają kupę aktorów, piosenkarzy i polityków.

Tomek zrobił zafrasowaną minę.

– Ty wiesz, teraz sobie myślę, że coś mi rzeczywiście nie gra. Tyle lat tam siedzę, a nie widziałem jednej znajomej gęby.

– No co ty, Tomcio – obruszył się Patyczak. – A ten, no, Harrison Ford. Pamiętasz, jak fałszował na Wielkanoc?

– Zgoda, ale jeden Ford wiosny nie czyni. Przecież aktorów były setki, a ilu ich u nas widziałeś?

Patyczak zaczął myśleć. Wyglądało to dość zabawnie: marszczył czoło i stukał się palcem po nosie.

– Jak się nad tym dobrze zastanowić, to rzeczywiście niewiele znanych twarzy pamiętam. Maryjana nie liczę... Raz jakby Oleksego widziałem, ale to chyba niemożliwe.

Wszyscy pokręciliśmy głowami.

– No popatrz, a dałbym głowę, że to on. Tak znajomo chrypiał dwa rzędy przede mną.

- Przywidziało ci się – zbył go Tomek.
- Może są w czyścicu – rzuciłem, widząc, że ich to męczy.
- Nie, koleś, dwadzieścia lat tam przeczekałem – zachnął się Patyczak.
- Widziałem tylko Leppera. Ciągłe mieszał i pchał się bez kolejki. Nawet skrzyknął raz rząd dusz i zablokowali wyjście na górę. Zdaje się, że potem zniknął. Ale w niebie go nie spotkałem.
- Znaczy, Lou mówił prawdę.
- Może. Czasem i im zdarzy się powiedzieć prawdę. Zwłaszcza jeśli jest bolesna.

Usiedli i zamyślili się.

- Powiadasz, że mają tam ligę piłkarską? – zapytał po chwili Tomek.
 - Tak mówił. Śpieszył się na jakiś mecz.
 - Wiesz co? – Patyczak wstał z zydelka i poprawił dres. – Sprawdzimy, jak to jest. I tak mamy przewalone na górze. Potem wrócimy i powiemy gościowi, czy to wszystko prawda.
- Tomek słuchał go, ale nie wstawał. Dopiero pociągnięty za ramię podniósł się, jakby bez przekonania.
- Nie wiem, czy to dobry pomysł.
- Patyczak jednak objął go wpół i... zniknęli jak bańki mydlane.
- Zostałem sam.

To było prawie dwadzieścia lat temu. Do dzisiaj nie spotkałem żadnego z nich. Ale nie dbam o to. Cztery miliony wystarczyły, żebym nie musiał dłużej ślęczeć przed monitorem za marne grosze. Wyjechałem z kraju, osiedliłem się na niewielkiej wysepce na południowych morzach. Nie powiem gdzie, bo to i tak nie ma znaczenia. Jestem szczęśliwy, wyleguję

się w hamaku, jem zdrową żywność, mam żony i dzieci. I tylko od czasu do czasu zastanawiam się, czy to, co powiedział Lou, jest prawdą.

Przecież kiedyś i tak się dowiem.

Dalsza część w wersji pełnej

SPIIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[Aniołowie](#)